



1984

GEORGE ORWELL

1984

Przekład
Robert Sudót

Tytuł oryginalu: *Nineteen Eighty-Four*

Copyright © for this edition by Vis-à-vis Etiuda

Wszelkie prawa zastrzeżone

Przekład: Robert Sudól

Projekt okładki: Marcin Wojciechowski

Redakcja: Gabriel Michalik

Korekta: Humbert Muh

Redakcja techniczna i łamanie: Anna Atanaziewicz

Wydawnictwo Vis-à-vis Etiuda spółka z o.o.
30-549 Kraków, ul. Traugutta 16b/9
tel. 12 423 52 74, kom. 600 442 702
e-mail: visavis_etiuda@interia.pl, biuro@etiuda.net
www.etiuda.net

ISBN: 978-83-7998-808-2

(wersja e-book)

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Był jasny zimny dzień w kwietniu, zegary właśnie wybiły trzynastą. Winston Smith z podbródkiem przyciśniętym do piersi w odruchu obrony przed kąśliwym wiatrem wślizgnął się szybko przez oszklone drzwi do Victory Mansions, choć nie na tyle szybko, aby wraz z nim do środka nie wdarł się tuman piaszczystego kurzu.

Na klatce schodowej cuchnęło gotowaną kapustą i starymi wycieraczkami. Na jednej ze ścian powieszono kolorowy plakat, zbyt duży, aby go eksponować we wnętrzach. Ukazywał ogromną twarz, o ponadmetrowej szerokości: oblicze mniej więcej czterdziestopięcioletniego mężczyzny o grubo ciosanych przystojnych rysach i sumiastych czarnych wąsach. Winston ruszył na schody. Próba skorzystania z windy nie miała sensu. Nawet w najlepszych czasach winda rzadko działała, a teraz za dnia odcinano prąd. Zdecydowano o tym w ramach polityki oszczędnościowej przygotowującej do Tygodnia Nienawiści. Mieszkanie znajdowało się na siódmym piętrze i Winston, który miał trzydzieści dziewięć lat i wrzodziejący żylak nad kostką prawej nogi, szedł na górę powoli, przystając kilka razy po drodze. Na każdym półpiętrze spoglądała na niego z plakatu naprzeciw szybu windowego ogromna twarz wąsacza. Było to jedno z tych upozowanych zdjęć, na których oczy podążają za ruchami widza. Podpis głosił: WIELKI BRAT PATRZY.

W mieszkaniu tubalny głos odczytywał listę danych mających coś wspólnego z produkcją surówki hutniczej. Dochodził z prostokątnej metalowej tablicy podobnej do matowego lustra, która stanowiła część ściany po prawej stronie. Winston przekręcił włącznik i głos nieco osłabł, choć słowa pozostały wyraźnie słyszalne. Urządzenie (nazywane teleekranem) dawało się ściszyć, ale nie można go było całkowicie wyłączyć. Winston podszedł do okna – nieduża krucha postać, której niepozorność uwydatniał niebieski kombinezon: partyjny uniform. Miał bardzo jasne włosy, cerę z natury rumianą, skórę spierzchniętą od szorstkiego mydła, tępych żyłek i mrozów minionej zimy.

Świat za oknem zionął chłodem. W głębi ulicy w podmuchach wiatru wirowały kłęby kurzu i skrawki papieru i choć świeciło słońce, a niebo było soczyście niebieskie, wszystko zdawało się bezbarwne z wyjątkiem porozlepianych wszędzie plakatów. Wąsate oblicze spoglądało z każdego wyeksponowanego miejsca. Także z fasady domu naprzeciwko. WIELKI BRAT PATRZY – grzmiał podpis, a ciemne źrenice zaglądały Winstonowi głęboko w oczy. Niżej, na poziomie ulicy, kolejny plakat z naderwanym rogiem trzepotał nierytmicznie na wietrze, na zmianę zakrywając i odkrywając jedno słowo: ANGLOSOC. W oddali między dachami latał śmigłowiec, na moment zawisł jak gież, po czym poderwał się w przechyleniu. Był to patrol policji zaglądający ludziom do okien. Lecz taki patrol nie robił wrażenia. Wrażenie robiła Myślifica.

Za plecami Winstona głos z teleekranu wciąż trąkotał o wytopie surówki i przekroczeniu założeń dziewią-

tę w kolejności Planu Trzyletniego. Teleekran był zarazem odbiornikiem i nadajnikiem. Wychwytywał każdy dźwięk głośniejszy od cichego szeptu, ponadto dopóki Winston przebywał w polu obserwacji z metalowej płyty, nie tylko go słyszano, ale też widziano. Oczywiście nikt nie miał pojęcia, czy w danej chwili jest podglądany. Kwestią domysłów pozostawało, jak często lub według jakiego schematu Myślicja prowadzi inwigilację. Niewykluczone, że śledziła wszystkich przez cały czas. Tak czy inaczej mogła podłączyć się do każdego mieszkania, kiedy tylko chciała. Ludzie musieli żyć i żyli z założeniem – które z nawyku przerodziło się w odruch – że słyszano każde ich słowo i nadzorowano każdy ruch, chyba że skrywała ich ciemność.

Winston stał odwrócony tyłem do teleekranu. Tak było bezpieczniej, choć zdawał sobie sprawę, że nawet plecy mogą go zdradzić. W odległości kilometra nad zszarzałym miejskim krajobrazem górował biały gmach Ministerstwa Prawdy, jego miejsce pracy. Oto Londyn, pomyślał Winston z mglistym niesmakiem, główne miasto Ładowiska Numer Jeden, trzeciej pod względem zaludnienia prowincji Oceanii. Spróbował dogrzebać się do jakiegoś wspomnienia z lat dziecińczych, które upewniłoby go, czy Londyn zawsze wyglądał tak samo. Czy oczom zawsze ukazywał się widok dziewiętnastowiecznych ruder o ścianach podpartych belkami, oknach łątanych kawałkami dykty i dachach uszczelnianych blachą falistą, ze zwariowanymi murami ogrodowymi pochylonymi we wszystkie strony? I widok tych zbombardowanych parcel, gdzie pył z tynku kłębił się w powietrzu, a wierzbownica

porastała kupy gruzu, tych kwartałów zrównanych z ziemią przez bomby, gdzie kielkowały kolonie nędznych drewnianych budynków przypominających kurniki? Na próżno Winston próbował sobie przypomnieć: z dzieciństwa nie zachowało się nic oprócz serii rozświetlonych obrazów pozbawionych tła i najczęściej niezrozumiałych.

Siedziba Ministerstwa Prawdy – Minipry w nowomowie [nowomowa była urzędowym językiem Oceanii. Struktura i etymologia – zob. apendyks] – istotnie różniła się od wszystkich innych budynków w zasięgu wzroku. Był to ogromny gmach w kształcie piramidy, postawiony z lśniącego białego betonu, wznoszący się tarasowo na wysokość trzystu metrów. Ze swego miejsca Winston dostrzegał wyraźnie trzy partyjne hasła w formie eleganckich liter na białym tle:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
IGNORANCJA TO SIŁA

Mówiono, że gmach Ministerstwa Prawdy ma trzy tysiące pomieszczeń od parteru w górę i podobny rozkład pod ziemią. W całym Londynie były jeszcze tylko trzy budynki, które dorównywały mu wyglądem i wielkością. Do tego stopnia dominowały nad resztą miasta, że z dachu Victory Mansions było widać wszystkie cztery jednocześnie. Stanowiły siedziby czterech ministerstw, na które dzielił się cały aparat władzy. Ministerstwu Prawdy podlegały informacja, rozrywka, oświata i sztuka. Ministerstwo Pokoju prowadziło wojny. Ministerstwo Miłości było odpowiedzialne za utrzymywanie ładu i porządku.

Ministerstwo Dostatku zajmowało się z kolei gospodarką. W nowomowie ich nazwy brzmiały następująco: Minipra, Minipo, Minimi i Minido.

Największy strach budziło Ministerstwo Miłości. Jego gmach nie miał ani jednego okna. Winston nigdy nie był w tym ministerstwie ani choćby w promieniu pół kilometra od niego. Wpuszczano tam ludzi jedynie w sprawach służbowych i nawet wtedy należało przedrzeć się przez istny labirynt zasieków, stalowych bram i zamaskowanych gniazd karabinów maszynowych. Ulice w pobliżu zewnętrznych szlabanów patrolowali strażnicy o gębach goryli, ubrani w czarne mundury i wyposażeni w palki teleskopowe.

Winston odwrócił się gwałtownie. Na twarz przywołał wyraz spokojnego optymizmu, bo tak nakazywał rozsądek, gdy stało się przodem do teleekranu. Ruszył przez pokój do ciasnej kuchni. Wychodząc o tej porze z Ministerstwa, zrezygnował z obiadu w stołówce, wiedział również, że w kuchni nie ma nic do jedzenia oprócz kawałka ciemnego chleba, który musiał zachować na śniadanie nazajutrz. Z półki zdjął butelkę bezbarwnego płynu oklejoną prostą białą etykietą z napisem VICTORY GIN. Wydzielała duszną mdłą woń jak chińska wódka ryżowa. Nalał sobie prawie całą filiżankę, przygotował się na wstrząs i wypił wszystko jednym haustem jak dawkę lekarstwa.

Natychmiast poczerwieniał, a z oczu popłynęły łzy. Alkohol smakował jak kwas azotowy, ponadto każdy łyk był niczym cios gumową palką w potylicę. Lecz w następnej chwili palące doznanie w żołądku minęło i świat

stał się nieco pogodniejszy. Winston wyjął papierosa z pogniecionej paczki z napisem VICTORY CIGARETTES i nieostrożnie ujął go w pionie, przez co cały tytuł wysypał się na podłogę. Z następnym poszło mu lepiej. Wrócił do dużego pokoju i usiadł przy stoliku po lewej stronie teleekranu. Z szuflady wydobył obsadkę, kalamarż i gruby czysty brulion w marmurkowej okładce z czerwonym grzbietem.

Z niewiadomego powodu teleekran umieszczono w nietypowym miejscu. Zamiast, jak to się działo na ogół, wisieć na ścianie w głębi, skąd roztaczał się widok na całe pomieszczenie, był zamontowany na najdłuższej ścianie, naprzeciw okna. Po jednej jego stronie ciągnęła się płytka wnęka, w której teraz siedział Winston, a którą, gdy budowano blok, zapewne przeznaczono na regał z książkami. Tkwiąc we wnęcie, przyklejony do ściany, znajdował się poza zasięgiem obserwacji z teleekranu, a więc był niewidoczny. Nadal go jednak słyszano. Przede wszystkim to właśnie niecodzienny rozkład pokoju podsunął mu pomysł, który właśnie zaczął wcielać w życie.

Dodatkowo zainspirował go brulion wyjęty z szuflady. Był wyjątkowo piękny. Papieru, z którego wykonano gładkie kremowe kartki, nieco pożółkłe z upływu czasu, nie produkowano już od co najmniej czterdziestu lat. Winston domyślał się, że zeszyt jest o wiele starszy. Wypatrzył go na wystawie zatechłego sklepiku ze starzyzną w jednej z podlegszych dzielnic miasta (nie pamiętał już, gdzie dokładnie to było) i natychmiast poczuł nieprzeparte pragnienie, aby go mieć. Członkom partii nie wol-

no było zaopatrywać się w zwykłych sklepach (takie zakupy nazywano „transakcjami na wolnym rynku”), jednak zakazu tego nie przestrzegano nazbyt surowo, gdyż wielu potrzebnych rzeczy, takich jak sznurowadła czy żyłki, nie można było dostać w inny sposób. Winston rozejrzał się szybko na boki, wślizgnął do środka i kupił brulion za dwa i pół dolara. W tamtej chwili nie zastanawiał się nawet, w jakim celu to zrobił. Zaniósł zdobycz w teczce do domu jak winowajca. Zeszty był niezapisany, lecz sam w sobie mógł być okolicznością obciążającą.

Winston postanowił prowadzić pamiętnik. Nie było to wbrew prawu (nic nie było, ponieważ zniesiono wszelkie prawa), gdyby jednak zostało wykryte, z dużą dozą prawdopodobieństwa czekałaby go kara śmierci lub przynajmniej dwadzieścia pięć lat obozu pracy przymusowej. Do obsadki włożył stalówkę i posłał ją przez chwilę, żeby pozbyć się tłuszczu. Pióro było archaicznym przyborem, używanym rzadko nawet do składania podpisu, a to konkretne Winston zdobył po kryjomu i z pewnym trudem, wiedziony przeświadczeniem, że piękny kremowy papier zasługuje na stalówkę, a nie skrobanie kopiowym ołówkiem. W istocie nie nawykł do odręcznego pisania. Poza krótkimi notatkami wszystko dyktowano do mowopisu, który oczywiście nie nadawał się do obecnego celu. Winston zanurzył stalówkę w kałamarzu i zawahał się na moment. Ścisnęło go w dolku. Przyłożenie pióra do papieru było krokiem przełomowym. Napisał niezgrabnymi małymi literami:

4 kwietnia 1984 r.

Wyprostował się. Ogarnęło go poczucie całkowitej bezsilności. Po pierwsze, wcale nie był przekonany, że faktycznie jest rok 1984. Bez wątpienia coś koło tego, gdyż raczej nie ulegało wątpliwości, że ma trzydzieści dziewięć lat, sądził bowiem, że urodził się w 1944 albo w 1945 roku, lecz w obecnych czasach nie dało się określić żadnej daty z dokładnością większą niż do roku, dwóch.

W jego głowie pojawiło się nagle pytanie, dla kogo będzie pisał ten pamiętnik. Dla przyszłości, dla nowych pokoleń. Przez chwilę krążył myślą wokół spornej daty zapisanej na kartce, aż naraz natknął się brutalnie na słowo z nowomowy: dwumyślenie. Po raz pierwszy dotarła do niego doniosłość rozpoczętego przedsięwzięcia. Jak można porozumieć się z przyszłością? Z natury rzeczy było to niemożliwe. Albo przyszłość okaże się podobna do terażniejszości, a wtedy nikt nie zechce go słuchać, albo okaże się inna, a wtedy jego przesłanie będzie niezrozumiałe.

Przez pewien czas wpatrywał się tępo w kartkę. W teledkranie przestawiono się na dziarskie marsze wojskowe. Zastanawiające było to, że Winston nie tylko stracił zdolność wyrażania swoich myśli, lecz zapomniał wręcz, co zamierzał napisać. W ostatnich tygodniach przygotowywał się do tej chwili i nie przyszło mu do głowy, że odwaga to za mało. Samo pisanie miało być łatwe. Wymagało jedynie przelania na papier tego nieprzerwanego uporczywego monologu, który od lat wypełniał jego umysł. Lecz w tej chwili nawet ten monolog ucichł. W dodatku żyłaki swędziały nieznośnie. Winston bał się po-

drapać, bo wtedy zawsze powstawał stan zapalny. Uplewały sekundy. Świadom był tylko pustej kartki, swędzenia nad kostką, dudniącej muzyki i lekkiego odurzenia spowodowanego dżinem.

Nagle zaczął pisać w panice, mgliście zdając sobie sprawę, co zostawia na papierze. Drobne dziecięce pismo z mozolem zapelniało stronę, pozbawione dużych liter, potem nawet znaków przestankowych:

4 kwietnia 1984 r. wczoraj wieczorem wypad do kina. same kroniki wojenne. jedna bardzo dobra o zbombardowaniu statku pełnego uchodźców gdzieś na morzu śródziemnym. widownia ubawiona ujęciami ukazującymi olbrzymiego grubasa uciekającego wplaw przed ścigającym go śmigłowcem, najpierw pluskał się jak morświn, potem ukazany przez celowniki w śmigłowcu, potem poszatkowany, morze dokoła różowe i nagle zatonął jakby do dziur po kulach nalato się wody, widownia ryczała ze śmiechu, kiedy poszedł na dno, potem pokazali szalupę z dziećmi, nad którą zawisł śmigłowiec. na dziobie siedziała kobieta w średnim wieku, może żydówka, z mniej więcej trzyletnim chłopcem w ramionach. chłopczyk wył z przerażenia i chował głowę między jej piersiami jakby chciał się w nich zakopać kobieta obejmowała go i uspokajała choć sama była sina ze strachu cały czas go osłaniała jakby myślała że jej ręce obronią go przed kulami potem śmigłowiec zrzucił 20-kilogramowy pocisk błysnęło straszliwie i łódź poszła w drzazgi świetne ujęcie dziecięcej rączki lecącej do góry najwyraźniej filmowała to kamera w dziobie śmigłowca i na miejscach dla członków partii wybuchły rzęsiste oklaski ale w rzędach dla prolów jakaś ko-

bieta wszczęła awanturę wrzeszczała że takich scen nie powinno się pokazywać przy dzieciach tak nie wolno tak się nie godzi aż w końcu policjanci ją wyprowadzili ale nie myślę żeby coś jej zrobili nikogo nie obchodzi co mówią prole typowa reakcja prola oni nigdy

Winston przerwał, między innymi dlatego, że dopadł go skurcz. Nie miał bladego pojęcia, co go skłoniło do wypisywania tych bzdur. Kłopot w tym, że gdy machał piórem, w jego umyśle wyklarowało się zupełnie inne wspomnienie, na tyle wyraźne, że nieomal uznał je za tak samo warte upamiętnienia. Uświadomił sobie teraz, że to właśnie z powodu drugiego zdarzenia nagle postanowił wrócić wcześniej do domu i akurat tego dnia rozpocząć prowadzenie pamiętnika.

Wydarzyło się to – jeśli coś tak ulotnego w ogóle może się wydarzyć – rankiem w ministerstwie.

Dochodziła jedenasta i w Wydziale Archiwów, gdzie pracował Winston, właśnie wyciągano krzesła z boksów, aby ustawić je pośrodku sali przed wielkim teleekranem w przygotowaniu do Dwoch Minut Nienawiści. Winston miał już zająć miejsce w jednym ze środkowych rzędów, gdy nagle do środka weszły dwie osoby, które czasem widywał, ale z którymi nigdy nie zamienił słowa. Jedną była dziewczyna często mijana w korytarzach. Jej nazwiska nie znał, wiedział jednak, że pracuje w Wydziale Literatury Pięknej. Najprawdopodobniej – przecież niekiedy miała powalane smarem dłonie i nosiła klucz francuski – dbała o konserwację urządzeń mechanicznych piszących powieści. Była około dwudziestosiedmioletnią pew-

ną siebie kobietą o gęstych czarnych włosach, piegowatej twarzy i błyskawicznych ruchach sportsmenki. Talię ukrytą pod kombinezonem obwiązała kilkakrotnie wąską szkarłatną szarfą – symbolem Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej – na tyle mocno, że uwydatniła się krągłość bioder. Winston zniechęcił ją od pierwszego wejrzenia. Zdawał sobie sprawę, jaka jest tego przyczyna. Dziewczyna roztaczała dokoła atmosferę aktywizmu: hokeja na trawie, kąpieli w zimnej wodzie, wspólnych wycieczek krajoznawczych oraz ogólnej prawomyślności. Nie cierpiał kobiet, zwłaszcza młodych i ładnych. Z zasady to właśnie kobiety, nade wszystko młode, były najbardziej zaślepionymi zwolennikami Partii, głosicielami haseł propagandowych, gorliwymi szpiczlami i demaskatorami odszczepieństw. Ta dziewczyna sprawiała wrażenie bardziej niebezpiecznej od innych. Pewnego razu, gdy mijali się w korytarzu, rzuciła mu z ukosa szybkie spojrzenie, tak przenikliwe, że ogarnęło go najczarniejsze przerażenie. Przyszło mu nawet do głowy, że być może jest agentką Myślicji, chociaż w istocie było to mało prawdopodobne. Mimo to gdy znajdował się w pobliżu tej dziewczyny, odczuwał osobliwy niepokój, na który składał się strach zmieszany z wrogością.

Drugą osobą był mężczyzna o nazwisku O'Brien, członek Partii Wewnętrznej, który piastował tak ważny i wysoki urząd, że Winston miał jedynie mgliste pojęcie o charakterze tego stanowiska. Na widok człowieka w czarnym kombinezonie członkowskim Partii Wewnętrznej wśród osób zgromadzonych przy krzesłach natychmiast zapadła cisza. O'Brien był dużym, przysadzistym mężczyz-

ną o byczym karku i zabawnej, nieokrzęsanej twarzy brutalą. Pomimo groźnego wyglądu miał pewien urok. Rozbrajający w nieokreślony sposób okazywał się jego osobliwie kulturalny nawyk nieustawicznego poprawiania okularów na nosie. Gdyby wciąż rozumowano w podobnych kategoriach, gest ten przywołałby na myśl osiemnastowiecznego szlachcica częstującego z tabakiery. Winston widział O'Briena tyle razy, ile lat przepracowali dotąd razem w ministerstwie – kilkanaście. Coś go silnie do niego przyciągało, coś więcej niż tylko dziwny kontrast między cywilizowanymi manierami a fizjonomią boksera. W większym stopniu było to skryte przekonanie – nie tyle nawet przekonanie, ile nadzieja – że polityczna ortodoksyjność O'Briena nie jest wzorowa. Nieodparcie zdawała się o tym świadczyć jego twarz. Lecz znów, być może na obliczu tego człowieka nie odmalowywało się odszczepieństwo, a po prostu inteligencja? Tak czy owak sprawiał wrażenie kogoś, z kim można porozmawiać, gdyby udało się oszukać teleekran i znaleźć z nim sam na sam. Winston nie podjął jednak nigdy najmniejszej próby, by sprawdzić swoje podejrzenia, ponadto jak niby miałby to zrobić? W tej chwili O'Brien spojrział na zegarek, zobaczył, że dochodzi jedenasta, i najwyraźniej postanowił zostać w Wydziale Archiwów, aby obejrzeć Dwie Minuty Nienawiści. Usiadł w tym samym rzędzie co Winston, kilka krzeseł dalej. Między nimi miejsce zajęła drobna rudawka blondynka, która pracowała w boksie sąsiadującym z boksem Winstona. Brunetka siedziała bezpośrednio za Winstonem.

W następnej chwili z wielkiego teleekranu na końcu sali zadudnił ohydny chrapliwy głos, jakby ruszyła po-

tworna nienaoliwiona maszyna. Był to taki hałas, od którego bolały zęby i stawały włosy na głowie. Zaczął się seans nienawiści.

Jak zwykle na ekranie pojawiła się twarz Emmanuela Goldsteina, Wroga Ludu. Wśród widowni przeleciał szmer. Mała rudawa blondynka zapiszczała ze strachu zmieszanego z odrazą. Goldstein był renegatem i odszczepieńcem, który dawno temu (jak dawno, tego nikt już nie pamiętał) należał do przywództwa Partii, rangą niemal dorównywał Wielkiemu Bratu, lecz później zaangażował się w działalność kontrrewolucyjną i został skazany na karę śmierci, uciekł jednak w tajemniczych okolicznościach i zapadł się pod ziemię. Program Dwa Minut Nienawiści zmieniano codziennie, ale to Goldstein był zawsze ich głównym bohaterem. Archetyp zdrajcy, pierwszy zbrukał czystość Partii. Wszystkie późniejsze zbrodnie popelnione przeciw niej, wszystkie odstępstwa, przypadki sabotażu, herezje, odchylenia od oficjalnej linii brały się wprost z jego doktryny. Przebywał w nieznanym miejscu i wciąż działał w konspiracji: albo za morzem, gdzie żył pod ochroną zagranicznych mocodawców, albo – czasem pojawiały się takie pogłoski – w ukryciu na terenie Oceanii.

Winston poczuł ucisk w przeponie. Ilekroć widział twarz Goldsteina, miotaly nim sprzeczne emocje. Była to szczupła żydowska twarz z wiotką kozią bródką i ogromną aureolą napuszonych siwych włosów – przebiegła i zarazem godna pogardy, z wyrażającym starcze otępienie długim cienkim nosem, na którego końcu nasadzono okulary. Przypominała pysk owcy, w dodatku

głos też brzmiał jak owczy bek. Goldstein przeprowadzał swój typowy cyniczny atak na doktryny Partii – tak przejawskrawiony i perfidny, że nawet dziecko by się zorientowało, a jednak na tyle przekonujący, by przepelnić każdego obawą, że inni ludzie, mniej rozgarnięci, mogą się nabrać. Oczerniał Wielkiego Brata, krytykował przewodnictwo Partii, domagał się natychmiastowego zawarcia pokoju z Eurazją, bronił wolności słowa i myśli, wolności prasy, prawa do zgromadzeń, wrzeszczał jak histeryk, że zdradzono rewolucję – wszystko to w prędkim wielozgłoskowym monologu, parodii stylu partyjnych krasomówców, zawierającym nawet zwroty z nowomowy, w istocie zawierającym więcej takich wyrażen, niż jakikolwiek członek Partii użyłby w zwykłych okolicznościach. Aby nikt nie miał wątpliwości co do prawdziwych motywów kryjących się za łgarstwami Goldsteina, przez cały czas w tle za jego głową po teleekranie maszerowała niekończąca się kolumna wojsk eurazjatyckich – szereg za szeregiem srogich mężczyzn o niewzruszonych azjatyckich twarzach, które wypełniały obraz i zaraz znikaly tylko po to, aby zastąpiły je nowe, identyczne. Baraniemu głosowi Goldsteina akompaniowało monotonne, miarowe dudnienie żołnierskich butów.

Seans nienawiści nie trwał jeszcze nawet pół minuty, gdy połowa widzów zebranych na sali zaczęła wydawać żywiołowe okrzyki gniewu. Kołtuńska gęba przypominająca owczą mordę i straszliwa potęga armii eurazjatyckiej – tego było za wiele. Na sam widok Goldsteina, nawet na myśl o nim, odczuwano niepokohamowany strach i wściekłość. Był o wiele bardziej niezawodnym obiektem

nienawiści niż Eurazja czy Ostazja, bo gdy Oceania toczyła wojnę z jednym z tych mocarstw, na ogół zawierała pokój z drugim. Dziwiło to, że choć Goldsteina darzono powszechną nienawiścią i pogardą, choć codziennie po tysiakkroć – na zebraniach i na teleekranach, w gazetach i w książkach – odpierano, obalano i ośmieszano jego poglądy wobec opinii publicznej jako żalosne brednie, którymi w istocie były, jego wpływy nie słabły. Zawsze znajdowali się nowi naiwniacy, którzy dali się ogłupić. Każdego dnia Myślicja demaskowała szpiegów i sabotażystów działających z polecenia Goldsteina. Dowodził rozległą tajną organizacją, podziemną siatką spiskowców, za wszelką cenę dążących do obalenia istniejącego porządku. Organizacją zwaną podobno Bractwem. Szepłano też pokątnie o strasznej książce, kompendium wszystkich odstępstw, której autorem był Goldstein i która krążyła w drugim obiegu. Książka nie miała tytułu. Ludzie nazywali ją, jeśli w ogóle poruszali ten temat, po prostu Książką. Takie sprawy znano wyłącznie z pogłosek powtarzanych półgębkiem. Rozmów o Bractwie i Książce członkowie Partii unikali jak ognia.

W drugiej minucie seansu nienawiść zgromadzonych widzów przerodziła się w szal. Ludzie podskakiwali na krzesłach i wrzeszczeli ile sił w płucach, żeby zagłuszyć obląkańczy bek płynący z ekranu. Drobną rudawą blondynką dostała rumieńców. Łapała ustami powietrze jak ryba wyjęta z wody. Nawet obwisłe oblicze O'Briena poczerwieniało. Siedział wyprostowany, a jego wydatna klatka piersiowa napięła się i drżała, jakby powstrzymywał napór fali. Brunetka znajdująca się za Winstonem zaczę-

ła krzyczeć: „Świnia! Świnia! Świnia!”. Nagle chwyciła opasły słownik nowomowy i rzuciła nim w ekran. Tomisko trafiło Goldsteina w nos i odbiło się, lecz głos nie-strudzenie rozbrzmiewał dalej. W przeblysku samoświadomości Winston zdał sobie sprawę, że krzyczy razem z innymi i wściekle wali obcasami w poprzeczkę krzesła. Groza Dwóch Minut Nienawiści polegała nie na tym, że człowiek czuł się zmuszony do uczestnictwa, lecz że nie mógł się powstrzymać od dostrojenia się do ogółu. Wystarczyło pół minuty, aby zadziało się to naturalnie. Ekstacyjny strach i mściwość, chęć mordy, zadawania tortur, zmiżdżenia twarzy młotem kowalskim przeszywały zebranych jak prąd elektryczny, przemieniając każdego wbrew jego woli w rozemocjonowanego i rozwrzeszczanego szaleńca. Jednocześnie ta powszechna wściekłość była wyabstrahowana, nieukierunkowana, więc dawało się nią sterować jak płomieniem palnika. Czasem nienawiść Winstona nie zwracała się przeciw Goldsteinowi, lecz wręcz odwrotnie, przeciw Wielkiemu Bratu, Partii i Myślicji i w takich chwilach całym sercem współczuł samotnemu, odsądzanemu od czci i wiary odszczepieńcowi widocznemu na ekranie, jednemu orędownikowi prawdy i rozumu w świecie kłamstwa. Lecz w następnej sekundzie jednoczył się z ludźmi dokoła i prawdą z kolei wydawało się wszystko, co opowiadano o Goldsteinie. W tych momentach głęboko skrywana nienawiść do Wielkiego Brata przeradzała się w uwielbienie – Wielki Brat jawił się wtedy jako niezwyciężony i nieustraszony gigantyczny mocarz, niewzruszony bastion powstrzymujący hordy Azjatów, Goldstein zaś, pomimo osamotnienia,

bezradności oraz nawet wątpliwości co do jego istnienia, wydawał się złowrogim hipnotyzerem zdolnym siłą swego głosu zniszczyć posady cywilizowanego świata.

Niekiedy udawało się aktem woli przekierować własną nienawiść. Nagle, w wyniku uporczywego wysiłku, z jakim dręczony koszmarem człowiek odrywa głowę od poduszki, Winston potrafił zwrócić swoją nienawiść od twarzy ukazanej na ekranie przeciw brunetce siedzącej za jego plecami. W jego umyśle rozbłyskiwały wtedy wyraziste piękne wizje. Zatlukłby dziewczynę na śmierć gumową pałką. Przywiązałby ją naga do pala i naszpikował strzałami jak świętego Sebastiana. Zgwałciłby ją i poderżnął gardło w chwili orgazmu. O wiele wyraźniej niż dotąd dotarło do niego, dlaczego tak bardzo jej nienawidzi. Nienawidził jej, bo była młoda, ładna i aseksualna, bo chciał pójść z nią do łóżka, a to wydawało się niemożliwe, bo jej słodkie wydatne biodra, które aż prosiły się o dotyk męskich dłoni, opasywała obmierzła szkarłatna szarfa, agresywny symbol wstrzemięźliwości płciowej.

Nienawiść sięgnęła zenitu. Głos Goldsteina przeszedł w prawdziwe owcze beczenie, a głowa zmieniła się w barani łeb. Łeb z kolei zaraz przekształcił się w sylwetkę nacierającego eurazjatyckiego piechura, ogromnego i straszego, z terkoczącym pistoletem maszynowym w dłoniach, jakby żołnierz miał wyskoczyć z ekranu, aż niektórzy w pierwszym rzędzie odskoczyli do tyłu z przerażenia. W tej samej chwili, wywołując głębokie westchnienie ulgi pośród zebranych, wrogą postać zasnęła twarz Wielkiego Brata, o czarnej czuprynie i wąsach, promieniująca mocą i tajemniczym spokojem, tak olbrzymia, że

wypełniła prawie cały ekran. Nikt nie usłyszał, co mówi Wielki Brat. Było to ledwie kilka słów otuchy, które zwykle padają we wrzawie bitewnej, niezrozumiałych oddzielnie, lecz razem przywracających ufność samym swoim brzmieniem. Potem na ekranie nastąpiło wyciemnienie i wyświetlono wielkie litery układające się w trzy hasła Partii:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
IGNORANCJA TO SIŁA

Wydawało się, że twarz Wielkiego Brata majaczy jeszcze przez kilka sekund na ekranie, jakby dzięki wywartemu wrażeniu odcisnęła się trwale pod powiekami widzów. Mała rudawa blondynka rzuciła się przez oparcie krzesła stojącego z przodu. Wyciągnęła ręce do ekranu i drżącym głosem szepnęła coś w rodzaju: „Mój wybawicielu!”. Potem ukryła twarz w dłoniach. Nie ulegało wątpliwości, że zatopiła się w modlitwie.

Wszyscy na sali zaczęli powoli i rytmicznie skandować grubymi głosami: „Wu-Be! Wu-Be! Wu-Be!” – raz za razem, rozwlekle, z długą przerwą między pierwszą a drugą głoską – był to niski pomruk, brzmiący osobliwie dziko, a w tle zdawały się rozlegać tupot bosych stóp i dudnienie tam-tamów. Trwało to być może pół minuty. Takie zawodzenie często towarzyszyło gwałtownym emocjom. Było poniekąd hymnem na cześć mądrości i majestatu Wielkiego Brata, w większej mierze jednak aktem autohipnozy, sposobem umyślnego zakrzyczenia głosu własnej świadomości rytmicznym skandowaniem. Winston czuł, że wywracają mu się flaki. W trakcie Dwóch